

1204

STANISŁAW TOMKOWICZ

---

# SZPECENIE KRAJU

(Z powodu broszury Pawła Schultze; „Die Entstellung  
unseres Landes“)

---

---

W KRAKOWIE  
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“  
1909.

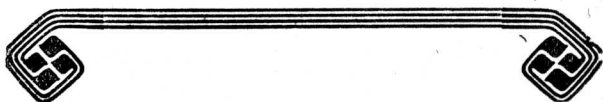


ODBITKA Z »CZASU«.

II 36.608

NAKŁADEM AUTORA.

Akc. Nr. K-2792/58



Co to jest piękno?

Próbowano je określić nie raz i nie dwa — bezskutecznie. Wysilali się nad tem filozofowie i artyści. Żadna definicya nie wytrzymała wszechstronnej krytyki i próby czasu. Żadna nie została przyjęta ogólnie, nie ostała się przez kilka z rzędu pokoleń.

Czy dlatego powiemy, że pięknem jest to, co się komu podoba, czyli, że właściwie nie ma piękna? Byłaby to zbyt pospieszna kapitulacya przed trudnością określenia.

Choć może nie istnieje na świecie piękno bezwzględne, każdy jednak normalny człowiek ma poczucie piękna, czuje, że są rzeczy piękne i brzydkie, że mogą być takie, które podobają się znacznej liczbie ludzi wrażliwych i delikatnego smaku.

Nie kusząc się o postawienie nowej teoryi piękna, stwierdzić wolno, że przyroda często — żeby nie powiedzieć: zwykle — bywa piękną. Wszyscy zachwycamy się poetycznością, nocy księżycowej, morza, krajobrazów górskich, stepu, wdziękiem kształtów ludzkich lub zwierzęcych — albo i między niemi rozróżniamy piękniejsze i brzyd-

sze, niektóre uważamy za szpetne, wstrętne, potworne.

Jeżeli przyroda częściej utrafia w samo sedno piękna — rzadziej udaje się to człowiekowi.

Arcydzieła sztuki są stosunkowo nieliczne. Pozbawione ich bywają czasem całe wieki i całe narody. Mnóstwo dzieł ludzkich jest niepięknych, wprost szpetnych. Czasem zaś powiedzie się człowiekowi utworzyć coś pięknego, od niechcienia, chociaż wcale nie jest artystą z zawodu i nie miał piękna na oku.

Czem się to dzieje? Kiedyż powstają rzeczy piękne? Sądzę, że wtedy, gdy zrodziły się organicznie, niejako z wewnętrznej potrzeby, gdy powierzchowność ich odpowiada treści i celowi, a postać jest wyrazem harmonii części składowych.

Zapewne, że taka definicya ogólnikowa, zresztą nie nowa i nie oryginalna, nie daje w rękę recepty na produkcję piękna, ale może niejedno tłumaczy i czyni jaśniejszem.

Tłumaczy przedewszystkiem, dlaczego w przyrodzie tyle piękna. Natura tworzy wszystko celowo i organicznie, więc jeden z warunków powstawania piękna jest jej niejako wrodzonym — drugi t. j. harmonia, wprawdzie nie należy do jej cech nieodzownych, ale pomiędzy mnóstwem niezliczonem jej płodów, które są jakby próbami stworzenia czegoś najodpowiedniejszego i najlepszego, powstają od czasu do czasu, niejako przypadkiem, dzieła wyrażające zewnętrznie harmo-

nię wewnętrzną, a te jako najdoskonalsze, są najtrwalsze, mają najkorzystniejsze warunki bytu, rozwoju i płodności.

Wśród dzieł ludzkich, zwłaszcza plastycznych, piękne, prawdziwie artystyczne powstają, gdy człowiek tworzy je nie tylko głową, ale i ręką. Mechanicznie nie można stwarzać arcydzieł sztuki, co najwięcej można je kopiować. Płody rękodziela czasów dawniejszych, często bywają dziełami sztuki. W XIX wieku maszyna zabiła produkcję piękną rękodzielniczą. Została nam dziś tylko t. zw. wysoka sztuka, oderwana niejako od życia praktycznego. Powstają jeszcze obrazy i rzeźby piękne, ale tak trudno dziś o ładny stółek, ładne łóżko, okucie drzwi, o ładną lampę lub tkaninę. Cenyśmy wielce stare sprzęty i meble, bo one powstały w czasach, kiedy jeszcze stolarz lub ślusarz robiąc wszystko własną ręką, mimowoli każdemu sprzętowi nadawał postać celową, organiczną i harmonijną. Dziś zadowolniamy się najczęściej samą celowością. Proszę porównać np. piec z XVII lub XVIII wieku, sanki lub powóz z przed 100 lat, z takimiż przeciętnymi przedmiotami z naszych czasów. Podobna ewolucja odbyła się i w budownictwie. Wiek maszyny na wszystkim wybił piętno swoje. Tania i praktyczność zniweczyła piękno, ujednostajniła i zbanalizowała całe nasze otoczenie. A gdy otoczenie jest jakby atmosferą smaku, wytworzyło ono płaski i poziomy nastrój, zakreśliło koleje dla kierunku myśli i upodobań, z któ-

rych niełatwo wydobyć się człowiekowi na wyżyny smaku i arcyzmu. Pokolenia muszą nad tem pracować.

Łatwo zrozumieć, jak błogi i cywilizacyjny wpływ wywierać na nas może nie tylko bliższe otoczenie, jakim jest mieszkanie, ale sąsiedztwo, okolica, to wszystko na co patrzymy codziennie i obok czego przechodzimy, zatem dom, w którym mieszkamy, ogród przy nim, ulica koło niego, kościół miejscowy, całokształt osady lub miasta, konfiguracja gruntu, krajobraz okoliczny. Wiadomo, że odbija się ono na usposobieniu całych narodów, a przynajmniej całych grup ludności. Górale są dziarescy i pełni wesołej fantazyi. Mieszkańcy stepów tęskni, „pomorzanie“, zwłaszcza osiedli nad brzegami mórz północnych, ponurzy, uparci, twardzi i przedsiębiorczy. Zapewne, że w tem rolę odgrywają warunki klimatyczne, nawet rodzaj pożywienia i zatrudnienia, wreszcie rasa. Ale zaprzeczyć się nie da, że ważnym, nieraz rozstrzygającym czynnikiem bywa po prostu cecha zewnętrzna, postać otoczenia, wygląd mieszkania, fizyonomia miasta, konfiguracja kraju.

Dopiero w nowszych czasach zaczęto sobie jaśniej z tego zdawać sprawę. Żyjemy w epoce analizy. Dawniej ludzkość młodsza była mniej skomplikowaną, czuła żywo, używała naiwniej. Dziś lubimy wszystko poddawać rozbiorowi chemicznemu, badać przyczyny, dochodzić do dna, „różniczkować“. Dawniej ludzie chorowali na „puchlinę“, umierali na „zarazę“ lub na „powietrze“.

Dziś rozprawia lada dziecko o cukrzycy, chorobie Brighta, o cholery, dżumie, tyfusie plamistym, czarnej ospie i ich bakcyloch.

Podobnie badamy przyczyny różnych usposobień, zastanawiamy się nad wpływami na smak i upodobania człowieka. Nie wystarcza nam stwierdzenie faktu, pytamy: dlaczego? Stąd coraz częściej zwracamy uwagę na otoczenie nasze, na tę sumę drobnych na pozór szczegółów, niemal impponderabiliów, które jednak mają doniosły wpływ na zdrowie, na równowagę, na nastrój duchowy i nerwowy człowieka nowożytnego. Cywilizacya wieku XIX i XX podniosła wysoko warunki życia zdrowotne i komfortowe. Dobre są kanały, drogi, bruki, wodociągi i kaloryfery, ale nie wystarczają naturom łaknącym duchowej harmonii i piękna. Wygodnie i zdrowo urządzone bywają nieraz konwikty, koszary i hotele. Niejeden z nas woli jednak mniej może postępowe, skromne własne mieszkanie. Wiek komfortu i higieny, wiek pary, elektryczności i fabryk ujednostajnił i spowszednił warunki życia. Ubieramy się, mieszkamy, podróżujemy wszyscy mniej więcej na jeden sposób. Najdłużej opierał się temu spowszednieniu wieśniak. W naszych oczach i chłop polski zaczyna tonąć w morzu ogólnego postępu, zatracza swój strój chłopski, zarzuca chałupy a stawia sobie domy miejskie. Cóż dopiero na zachodzie! Wsi całych okolic i krajów przebudowano na nowożytnie miasteczka, raczej na podobne do siebie osady robotników fabrycznych. Temci bardziej miasta.

Przepadł przytem indywidualizm narodowy, za-  
tarły się odrębne cechy części kraju, wszystko  
idzie pod jeden strychulec, nawet temperamenty  
i charaktery ludzi. Stajemy się coraz bardziej po-  
dobni jedni do drugich, coraz bardziej prze-  
ciętni. Tryumf to może idei demokratycznej,  
ale strata dla ludzkości. Świat prowadziły na-  
przód nie masy, ale wybitne jednostki. Arystote-  
les, Plato, Sofokles, Mojżesz, Dawid, Konfucyusz,  
Zoroaster, Aleksander, Cezar, Justynian, Karol  
Wielki, Dante, Szekspir wytknęli ludzkości drogi,  
nieśli przed nią pochodnię światła, pchnęli świat  
ducha naprzód — wędrowki narodów i hordy  
Mongolów szerzyły tylko zniszczenie, niwelowały  
wszystko, co głową wystawało w górę, i słały  
po świecie grobową równinę barbarzyństwa. Coś  
podobnego czyni też dzisiejszy socjalizm, będący  
często tylko postępowym wandalizmem.

W miarę jak się świat równa i płaszczy, a ludz-  
kość zamienia w szarą masę, podnosi się z dru-  
giej strony żal i tęsknota za ginącą jednostką,  
inteligentniejsi i szlachetniejsi stają w obronie  
zagrożonego indywidualizmu. Jednym z warun-  
ków wdzięku na świecie i w życiu jest kontrast.  
W ogrodzie umiejętnie urządzonej grupuje się  
według pewnego planu rośliny niskie i wysokie,  
na aksamitnej murawie rozrzuca się klomby kwia-  
tów, tu i ówdzie usadza się piękny krzew lub  
drzewo. Plantacya najwspanialszych róż, łań hia-  
cyncytów, może mieć urok dla handlarza kwiatów —  
poeyi ogrodu dobrze rozłożonego, ani parku zło-



żonego z samej zieleni nie zastąpi, nie dorówna nawet ładnej łące naturalnej, urozmaiconej zarosłami, rzuconej przez przyrodę jakby od niechcenia pod lasem.

Ale porównanie nie jest trafne. To co nam daje cywilizacja nowoczesna, to nie łąny kwiatów, tylko rośliny pastewne. Zagarnia najpiękniejsze ogrody, by je zorać na pole ziemniaków. Nic dziwnego, że coraz więcej ludzi zaczyna wołać: nie zorzcie nam wszystkiego, zostawcie choć kawałki ogrodów! Bez poezji życie stanie się takim błędem, takim płaskiem, tak mało będzie wartem życia! W uprzedmiotwionem i upraktycznionem otoczeniu będzie zapewne dobrze krowom i owcom, którym wystarcza do szczęścia dobra pasza i wygodna stajnia; człowiekowi stanie się nudno, smutno i nieswojsko; tak nie nas nie będzie łączyło z domem, miastem, okolicą, pozbawionymi cech własnych, upodobnionymi do siebie, szablonowymi.

Człowiek u siebie będzie się czuł jak w koszarach lub szpitalu, a razem z urokiem ogniska domowego ulotni się przywiązanie do miejsca rodzinnego, do kraju własnego, do ojczyzny. Jak domy przemienią się w hotele bez fizjonomii osobistej, a miasta i wsi w kolonie robotnicze, mieszkańcy ich zamienią się w turystów lub obywateli, którym wszędzie może być równie dobrze, alboważ równie źle, tak w Europie jak w Ameryce, lub Australii Ojczyzną stanie się wagon kolei, lub automobil. Już dziś nie brak tego ro-

dzaju typów tułaczy, urodzonych emigrantów. Dawniej mówiono: wszędzie dobrze, w domu najlepiej. Dziś spotyka się dużo ludzi, którym wszędzie źle, najmniej źle w hotelu lub w podróży. A jakby tacy się rozmnożyli, żegnaj życie patryarchalne, żegnaj poezyo dachu rodzinnego, tradycyi, przywiązania do swoich kątów i ludzi, bądź zdrowa miłości ojczyzny. Bez wczoraj i bez jutra, bez ściślejszych stosunków i obowiązków, ludzie błąkać się będą po szerokim świecie, szukając tylko, gdzie z mniejszym kłopotem mogliby żyć przyjemnie i lepiej zabijać czas. Grozi to wszelkim wyższym aspiracyom i ideałom, bo wygody nie zastąpią kultury ducha, nie podnoszą serc w górę, nie rozgrzewają uczuć szlachetnych, nie czynią ludzi lepszymi. Gonitwa za komfortem robi z nas niepożytecznych i nisko myślących kosmopolitów, zmateryalizuje ludzkość i zaleje świat cywilizowaniem barbarzyństwem.

Walka z tym kierunkiem nowożytnego postępu wyszła z Włoch i Niemiec. W imię wyższych dóbr wzięto w obronę pomniki przeszłości, przedewszystkiem zabytki sztuki. Powstały urzędy konserwatorskie w różnych krajach Europy, wydano ustawy o ochronie zabytków, w których zasadą jest, że tym wyższym idealnym dobrom, jakie przedstawiają dzieła sztuki, należy się przynajmniej taka sama ochrona i opieka, jak innym dobrom ogółu. Wolno ograniczać własność prywatną dla celów ekonomicznych, politycznych i t. d., wolno zakazywać np. niszczenia lasów,

lub wywłaszczać dla fortyfikacyj, dla budowania dróg, dla obrony przed powodzią — to wolno też ograniczać wywóz obrazów i rzeźb, dowolne pącie i szpecenie budynków, handel starożytnościami. Ogałanie kraju z zabytków przynosi szkodę idealnym dobrom ogółu, a często także i majątkowi publicznemu. Jednostka nie ma prawa niszczyć tego, co w jakikolwiek sposób należy do ogółu.

Wkrótce przekonano się, że nie dosyć jest ochraniać zabytki sztuki. Opiekowano się np. zamkami i kościołami, a dokoła nich traciły swoją właściwą cechę dzielnice i miasta, które w całości swej godne były nazwy zabytku. Okazało się, że nie dobrze jest dzielić zabytki na ważniejsze i mniej ważne, nie wystarcza zachować katedrę strasburską, lub kościół św. Wawrzyńca w Norymberdzie, a spokojnie patrzeć, jak banalizuje się skazane na zagładę tło i środowisko. Cenny klejnot potrzebuje też pięknej oprawy. Więc zaczęto opiekę rozszerzać na domy, place, ulice. A gdy prawne trudności stawały często na przeszkodzie skutecznej opiece nad własnością prywatną, obrano drogę agitacyi wśród społeczeństwa, skuteczniejszej czasem od litery prawa. Tworzy ona powoli atmosferę kulturową, przeszkadzającą modernizowaniu i defigurowaniu miast, przygotowuje grunt pod ustawy i jest potem ich najlepszym sprzymierzeńcem. Wiadomo, że tylko te prawa mają zapewnione życie, o których pożyteczności większa część ludności kraju jest przekonana.

W samym końcu przeszłego wieku powstają Towarzystwa miłośników starych miast, zwane czasem też Towarzystwami ochrony zabytków. Jakby na dane hasło pojawia się ich w r. 1899 cały szereg: we Florencyi aż dwa naraz, włoskie i niemieckie, w Rothenburgu także dwa, w Miltenbergu; w 1900 w Lubece i Hildesheimie. Niektóre wyraźnie już w nazwie swej zaznaczają, że celem ich jest ochrona nie pojedynczych zabytków, lecz staroświeckiego wyglądu miast. Równocześnie w r. 1899 tworzy się w Niemczech Stowarzyszenie nie dla tej lub owej miejscowości, lecz biorące w opiekę stare zamki całego kraju (*Verein zur Erhaltung deutscher Burgen*).

Rozszerzają się horyzonty i zakres działania tej opieki. Wszak zamki rozsiane po szczytach wzgórz, należą zarówno do inwentarza zabytków architektury jak do rysów charakterystycznych fizjonomii kraju. Ileż przyczyniają się one do podniesienia malowniczości okolic nadreńskich, Szwajcaryi, Apeninów, włoskich i austryackich krajów alpejskich! Kto raz widział, choćby tylko z okien wagonu, trzy grody spiętrzone nad sobą na skałach w Orawie na Węgrzech, lub zamek Hochosterwitz w Karyntyi wieńczący olbrzymią masą murów i baszt górę stożkową, która strzela w górę na wysokość blisko 200 metrów wśród pysznego alpejskiego krajobrazu, ten nie zapomni tego wrażenia, chyba by musiał mieć zupełnie stępną wrażliwość na piękno. Z pierwiastkiem czysto zmysłowym, malowniczym, łączy się w ta-

kich wypadkach czynnik intelektualny, wspomnienie tego, co wiemy o romantycznych czasach rycerstwa średniowiecznego — obie te strony potęgują się nawzajem, by obraz silnie wryć w oko i umysł.

Ruch rozpoczęty już się nie zatrzymał, szerzy się odtąd nieprzerwanie, zyskuje na terenie i na sile. Za przykładem Niemiec powstaje w r. 1901 „Soc-été pour la protection des paysages“ we Francyi, a w Niemczech nietylko tworzy się coraz więcej Stowarzyszeń dla obrony fizjonomii miast i fizjonomii różnych okolic kraju, ale także w r. 1901 sejm W. ks. heskiego uchwala ustawę konserwatorską, w której obok zabytków sztuki objęto również prawną ochroną to, co tam nazwano „zabytkiem natury“, więc otoczenie pomników sztuki, skały, lasy, góry. Nie poprzestano na tem. Inne kraje niemieckie biorą sobie Hesyę za wzór. Tam, gdzie z politycznych lub prawnych powodów ustawa podobna do heskiej jeszcze nie dała się przeprowadzić, zaradzają na razie złemu rozporządzenia rządowe, przepisy policyjne, albo nawet autonomiczne zarządzenia.

W wielu gminach miejskich, a dziś podobno już i wiejskich, nowsze ustawy budowlane wzięły w opiekę wygląd miejscowości i otoczenia jej. Niewolno samowolnie zmieniać postaci ulic, placów, niewolno psuć i szpecić pejzażu. W niektórych miastach gmina ma prawo wywłaszczenia w tych wypadkach, gdzie w inny sposób psuciu zabytków lub szpeceniu miejscowości przeszkodzić nie

BIBLIOTEKA ORYGINALNA  
Politechniki Krakowskiej

można. Złożono w tym celu osobne, czasem znaczne fundusze, do których powiększenia przyczyniają się prywatne stowarzyszenia. Rozpisuje się konkursy na projekty zabudowania części miasta sąsiadujących z ważnymi zabytkami, a zarządy miast udzielając konsens na nową budowę, biorą pod uwagę nie tylko kształt jej bezwzględny, ale także stosunek budynku do charakteru otoczenia, pilnują by nowe budowle nie kłóciły się z dawniejszemi, albo cennym zabytkom nie czyniły konkurencji, nie zagłuszały ich swoją wielkością i zdobnością. W niektórych miastach oznaczono pewne ulice i dzielnice, w których nowe budowle muszą się harmonijnie stosować do dawniejszych, albo raczej do ogólnej za piękną uznanej fizjonomii otoczenia.

Nie idzie tu oczywiście o kopiowanie zabytków, o powtarzanie gmachów starego typu i stylu. Byłoby to szkodliwe, a za skutek miałyby monotonię i szerzenie falsyfikatów. Zjazd konserwatorów niemieckich w r. 1904 postawił bardzo rozumną i trafną zasadę pod tym względem, że wprawdzie należy drogą ustaw i ordynacyj miejskich dążyć do ograniczenia szkodliwej swawoli budowania, przeszkadzać szpeceniu miast, ale niedorzecznem byłoby wdawać się w przepisywanie stylu nowych budowli. Twórczości należy zostawić swobodę, przestrzegać tylko, by szanowano ogólną harmonię obrazu miast co do wysokości budynków, ich sylwety, kształtu dachów, materiału i barw fasad. W różnych miejscowościach utworzo-

no „rady artystyczne“ mające powierzone czuwanie nad tem wszystkim i posiadające czasem głos stanowczy, nietylko doradczy. Rozciągnięto kontrolę nawet na szyldy sklepowe, na plakowanie i na napisy reklamowe. Zajęto się regulacją i rozszerzaniem ulic.

Sprawa regulacji miast jest jedną z najdrażliwszych. W imię ułatwienia wzrastającego ruchu i w imię uzdrowotnienia miast, wzięli się w drugiej połowie XIX w. inżynierzy z lekarzami za rękę, by podjąć wielką akcyę około rozszerzenia i prostowania ulic w starych miastach. Pod pokrywką nawet troskliwości o efekt pięknych gmachów starych, zaczęto także burzyć i oczyszczać sąsiedztwo różnych katedr, ratuszów i t. d. Byli, co działali niewątpliwie w dobrej wierze; nie brakło przytem i prywaty. Budowniczo wie i właściciele piekli nieraz przy tym ogniu własną pieczeń. Narobiło się wiele spustoszenia. Usuwano najcenniejsze zabytki dla ułatwienia ruchu, którego wcale nie było i nie ma, lub który łatwo było inną drogą skierować. Rozbierano pamiątkowe bramy, wieże, burzono piękne kaplice, pełne wartości domy. Dziś już nabieramy przekonania, że stało się wiele bezcelowych nadużyć. Rozszerzanie ulic może czasem być nieodzownem; prostowanie linii domów zwykle nie ma sensu: nic brzydszego, jak długa prosta ulica, na końcu której nic nie widać. Rodzi ono wstrętą i nudną jednostajność, zmusza oko do patrzenia w pustkę. Łatwo się o tem przekonać, choćby w Berlinie.

Właśnie krzywe linie domów wnoszą różnorodność i malowniczość, są przeciwieństwem monotonii i powszedniości. Z każdego punktu krzywej ulicy widać pewną część jej fasad. Ideałem architektury nie jest przecież długi front oddziału wojska.

Dziś już na zjazdach nie tylko archeologów, ale nawet architektów zapadają uchwały, by nowe ulice nie były budowane pod sznurem, a i placom pewne krzywizny i niesystematyczności, jak coraz bardziej ludzie widzą, dodają wdzięku i uroku.

Daleko jednak do tego, by zdrową tę zasadę uznano powszechnie. Technicy, którzy jak wiadomo, są najbezwzględniejszymi z ludzi, jeszcze nieraz walczą w obronie ulic pod sznur i dla ich wyprostowania ogalają śmiało miasta z cennych zabytków.

Lecz i samo rozszerzanie ulic lub placów ma swoje ujemne strony. W okolicach suchych i wietrznych ułatwia przeciągi, tworzenie się i przenoszenie kurzu. Nie można powiedzieć, iżby tendencja obecna w zabudowaniu miast i urządzaniu ulic tak całkiem zgodną była z zasadami dobrej higieny. Powszechnie zmniejsza się podwórza, znosi ogródki domowe, a za to rozszerza przestrzeń brukowaną ulic i placów. Jak gdyby pył powstający ze ścierania kamiami był rzeczą bardzo zdrową do oddychania. Lepiej nieraz zachować ogródki a zostawić węższe ulice. Z wymaganiami zdrowotności bardzo dobrze dadzą się pogodzić ulice wąskie wyasfaltowane.



Rozszerzanie zaś ulic a zwłaszcza ich prostowanie bynajmniej nie przyczynia się do podniesienia malowniczości aspektu miast, podobnie jak odsłanianie katedr i ratuszów zwykle wychodzi starym budynkom na niekorzyść. W średnich wiekach zabudowywano miasta ciasno. Gmachy obliczone były zwykle na patrzenie zbliska. Piętrzyły się one ponad sąsiednie domy, górowały nad nimi i przez to potężniejsze sprawiały wrażenie. Przepyszna katedra paryska nie zyskała przez to, że dokoła niej stworzono place i ogrody. Jest jeszcze zawsze piękna, ale straciła dużo wspaniałości i nastroju, odkąd usunięto jej staroświeckie ciasne otoczenie. Wśród pustki, na tle bezgranicznego nieba maleją nawet bardzo wielkie przedmioty.

Nie zatrzymano się w Niemczech na wyliczonych wyżej środkach i zarządzeniach dla ratowania właściwości miast i pejzażu. Pod nazwą „Heimatschutzverein“ powstało w r. 1904 wielkie stowarzyszenie ogarniające swem działaniem całe Niemcy i jednoczące wszystkie istniejące już częściowe stowarzyszenia ochrony zabytków sztuki i natury, a zakładające nowe grupy, tam gdzie ich dotąd nie było. Jest to organizacja rozległa, o wielkich szerokich celach. Dzieli się na sześć oddziałów: właściwe konserwatorstwo, czyli ochrona zabytków sztuki i pamiątek przeszłości, ochrona fauny, flory i geologicznych właściwości kraju, ochrona piękności krajobrazu i ruin wśród niego, ochrona tradycyi budownictwa miejskiego, opie-

ka nad sztuką ludową po za budownictwem, ochrona zwyczajów, obchodów, strojów ludowych. Za wzorem Niemiec poszły też i inne kraje, przede wszystkim Francya, Szwajcarya i Anglia.

W myśl zakresu działania i celów „Heimatschutzu“ już niektóre rządy niemieckie zajęły się opieką nad tymi różnymi działami kultury. Rozporządzenie bawarskiego ministerstwa oświaty z r. 1904 rozciągnęło opiekę państwa i urzędową inwentaryzację zabytków na wiele przedmiotów nigdy przedtem nie branych w rachubę, a poleca swoim organom budzenie wśród ludności zamiłowania i uszanowania nawet dla najskromniejszych zabytków miejscowych i swojskich, także dla typowych partyj krajobrazu, nadających okolicom właściwy wyraz. Nie czekając na ustawodawcze przeprowadzenie ochrony pejzażu, utworzono drogą administracyjną w Prusiech w r. 1906 rządowy nadzór nad t. zw. pomnikami natury, jako osobny dział agendy ministerstwa oświaty, któremu dodano kuratoryum złożone z przedstawicieli różnych innych ministerstw przytem interesowanych. Prowincye mają swoich komisarzy dla opieki nad pomnikami przyrody. Podobne organizacye są już w innych krajach rzeszy niemieckiej. Organizacyi pruskiej w pomoc przysłała ustawa o ochronie miejscowości i piękności natury, uchwalona przez sejm i wprowadzona w życie w r. 1907. Kładzie ona władzom rządowym daleko idące środki w rękę. Prezydent rządu może n. p. poza obrębem miejscowości objętych statu-

tem miejscowym polecić, nawet zarządzić odmówienie pozwolenia policyjnego na wznoszenie budowli, któreby, według zdania znawców, szpecily okolicę.

Za Prusami poszły inne kraje Rzeszy, prócz tych, które je wyprzedziły. Słusznie przytem przyjęto zasadę, że ustawa państwowa powinna być niejako tylko ramą, ustalić ogólne pojęcie i punkty widzenia, zakresić główne linie — co do szczegółów każdy kraj, okolica, miejscowość, może mieć inne praktyczne sposoby postępowania. Ustawa ramowa zostawia te szczegóły statutom miejscowym, dopomaga tylko do ich ustanawiania, daje wskazówki i poparcie.

Ale coraz bardziej ustala się w kołach interesujących się temi sprawami przeświadczenie, że głównego poparcia zabiegom rządów i ciał autonomicznych, ustawom, rozporządzeniom i statutom miejscowym może dostarczyć tylko rozwinięte i rozpowszechnione poczucie ludności samej. Trzeba, żeby jaknajszersze warstwy przejęły się tem zresztą całkiem słusznem i na prawdzie ugruntowanem przekonaniem, że ochrona zabytków, ochrona własności miast i okolic jest sprawą nie tylko estetyczną lub uczuciową, ale narodowo-kulturalną i często ekonomiczną, że pamiątki przeszłości, piękne i oryginalne miasta i urocze okolice są majątkiem publicznym. W strunę propagandy uderzają zarządzenia i instrukcje władz rządowych, ten jest główny cel stowarzyszeń w tym celu zawiązywanych. Rozrastają się one

i mnożą u naszych zachodnich sąsiadów z dniem każdym. Już w r. 1906 „Heimatschutz“ liczył w Niemczech 150 podporządkowanych korporacji okręgowych a liczba członków szła w tysiące. Dziś niewątpliwie jest ich o wiele więcej. Urządzą kongresy, wydają pisma peryodyczne. Ukazuje się znaczna ilość broszur i rozpraw szerzących ideę opieki nad fizyonomią miejscowości i kraju.

Do rzędu takich publikacyj należy broszura świeżo wydana p. t.: „Die Entstellung unsres Landes“, na którą niniejszem pragnę zwrócić uwagę czytelników. Autor jej p. Paweł Schultze z Naumburga jest jednym z najgorliwszych apostołów czy misjonarzy idei ratowania od zagłady piękności miast i krajobrazów. Ogłosił już drukiem parę dzieł większych fachowych w tym kierunku, między innymi kilkutomowe dzieło „Kulturarbeiten“ i szereg rozpraw i broszur.

Najnowsza broszura, o której mówię, ma cel czysto popularny, zwraca się do szerokiej publiczności. By nawet najmniej obeznanym z przedmiotem ułatwić zrozumienie doniosłości sprawy, wprowadza w niej autor dowcipną nowość. — Wśród licznych, bo aż 75 ilustracyj (na 78 stron druku), znaczna część zgrupowaną jest parami: na jednej stronie widzimy fotograficzny widok jakiejś pięknej malowniczej grupy dawnych domów, okolicy, ogrodu (jako przykład dodatni) — a na przytykającej stronie dano jako przykład ujemny albo tę samą grupę czy partyę krajobra-

zu, albo też inną, przekształconą przez świeże dodatki i zmiany. Gdzieindziej staremu pięknemu budynkowi, czasem nawet bardzo prostemu i skromnemu, przeciwstawiono postawiony na jego miejscu lub obok niego budynek pospolity i szpetny mimo widocznej pretensyi do ładu i wdzięku.

Ten sposób działania na smak przez wzrok, przemawiania do lepszych stron człowieka przez przykłady, jest znakomitym pomysłem. Tak zestawione ilustracye nie tylko są najlepszem objaśnieniem tekstu, ale niezmiernie kształcą poczucie piękna przez porównania. Więcej one mówią i bardziej przekonywają niż najwymowniejsze rozumowania. Już samo przejrzenie uważne broszury jest nadzwyczaj nauczające.

Obok p. Schultze jest w Niemczech cały zastęp ludzi pracujących od lat w tym kierunku, piszących rozprawy i jeżdżących po kraju z odczytami. Są pisma peryodyczne poświęcone w całości lub w części tej sprawie.

A u nas?

Najwięcej robi się jeszcze pod względem opieki nad zabytkami. Prócz konserwatorów broniących ich z urzędu, w nowszym czasie zajęły się tą sprawą stowarzyszenia takie, jak Miłośników starego Krakowa, Opieki nad zabytkami w Krakowie i w Warszawie. W Krakowie jest od niedawna Rada artystyczna przy magistracie. Zwracają też sporadycznie uwagę na rzeczy te Towarzystwo dla sztuki stosowanej w Krakowie i związki architektów i techników i nie można zaprze-

czyć, że praca ich zaczyna wydawać niejakię owoce. Budzi się w ludności poczucie przywiązania do zabytków, rozszerzają się koła ich opiekunów. Ale wszystko to jeszcze jest mało. Daleko do tego, by zamilowanie pomników przeszłości i sztuki ogaraęło szersze warstwy. Nawet wśród inteligencyi odzywa się jeszcze nierzadko fałszywy i brutalny głos oporu i protestu przeciw „niepowołanym opiekunom“ cudzej własności. Daleko do tego, by zrozumiano, iż wartość zabytków jest własnością ogółu, majątkiem i dobrem narodu, kraju, miasta. Działanie zaś lepszych jednostek, nawet akcyja urzędowa, chrama i chromać musi z powodu niedostatecznego prawnego uregulowania opieki nad zabytkami. Jest cały aparat urzędowych opiekunów zabytków, jest w Wiedniu komisya centralna, są jej organa wykonawcze: konserwatorowie rozsiedleni po całym kraju — są przepisy i rozporządzenia. Brak małej tylko rzeczy: ściśle określonej władzy wykonawczej. W niektórych wypadkach bardzo trudno przeszkodzić niszczeniu zabytków. Projekt nowej ustawy konserwatorskiej od dawna tula się między ministerstwami a parlamentem; ma pewną liczbę zwolenników i popleczników, co kilka lat ulega poprawkom i przeredagowaniom; brak mu opiekuna jednego a szczerego i dość możnego, by przeprowadził jego uchwalenie ostateczne i sankcyonowanie. W Prusiech przez długie lata, aż do r. 1907 nie było ustawy konserwatorskiej, ale tę lukę prawną wyrównywały:

zrozumienie rzeczy, dobra wola, sprężystość i silna organizacja urzędów politycznych. Nasze władze polityczne pod tymi względami mierzyć się z tamtymi nie mogą.

Jeżeli jeszcze zabytki sztuki i przeszłości cieszą się jaką taką opieką, to na t. zw. pomniki natury i na piękności miast w Austrii nie zważa dotąd niemal nikt. W Galicyi, przy niższym niż w krajach zachodnich poziomie kultury, pozbawione one są wszelkiej opieki. Wśród ludności nie troszczy się o takie rzeczy nikt. Rada artystyczna w Krakowie ma niezbyt określony zakres agend, a całkiem nieokreślone atrybucye. Jest to ciało czysto tylko doradcze, którego zdanie niktogo nie obowiązuje. Towarzystwa kulturalne, których w Krakowie jest kilka i które nawet utworzyły tutaj związek, dotąd dosyć bezskutecznie próbują zabierać głos w sprawach dotyczących ochrony piękności i dawnych cech miasta. Niedoznają poparcia od czynników decydujących, nie są zwykle rozumiane przez szerokie warstwy.

A już piękności natury, krajobraz, nie mają żadnych opiekunów, ani urzędowych, ani prywatnych. To też marnieją piękności kraju, spustoszenie wzrasta z dniem każdym. Jeżeli dalej stan ten potrwa, czeka nas los smutny. Było dość dużo okolic malowniczych, jest ich coraz mniej. Piękne lasy padają pod siekierą marnych spekulantów, tworzących pustki przerażające. Skały romantyczne znikają, rozsadzane prochem i dynamitem, zamieniają się w materiał na budowy i na

konserwy do naprawiania dróg. Było w Galicyi dosyć starych zamków wieńczących wzgórza podkarpacie, dodających uroku różnym stronom naszej ziemi, wiążących się z tradycjami o polskiej przeszłości. Znikają jeden po drugim. Z zamku Muszyńskiego zostały już tylko bezkształtne kawałki muru, z zamku Lanckorońskiego zaledwie fundamenty. Rozsypują się w naszych oczach Czorsztyń, Lipowiec, Goleisz, Mrukowa, Rytro, Rożnów, Witowice i tyle innych zamków. Jedynie jeszcze Wiśnicz, Tęczyn i Melsztyn podtrzymywane są mniej lub więcej, dzięki ofiarności prywatnych właścicieli, a Odrzykoń dzięki zabiegom Tow. Opieki nad zabytkami. We wschodniej Galicyi Krasieczyn jest w części zamieszkały, Podhorce utrzymywane są jako muzeum, w Olesku umieszczono zakład krajowy. Natomiast kilkudziesiąt starych zamków i rezydencyj, zamieszkałych jeszcze nie tak dawno, zdaje się być skazanych na zagładę. Cóż dopiero mówić o innych częściach Polski, zwłaszcza o Królestwie Polskiem, gdzie stosunki dużo są smutniejsze. Uboższe pod tym względem ziemia nasza z dniem każdym.

Typowym przykładem jak giną z powierzchni ziemi piękności krajobrazu jest Tyniec.

Sławne niegdyś opactwo, którego początki wiążą się z pierwotnymi dziejami dzielnicy krakowskiej i Polski, odebrane Benedyktynom i w różne przechodzące potem ręce, zamieszkanem było jeszcze przed 80 laty. W r. 1831 zniszczył dachy pożar od pioruna zapalony. Odtąd opuszczone, za-



pada w coraz większą ruderę z wyjątkiem kościoła zamienionego w parafialny. Miejscowość jest jedną z najpiękniejszych w okolicach Krakowa — jeśli nie najpiękniejszą. Położenie na urwiskach wapienia zwieszających się nad Wisłą, wśród skał, wzgórz i lasów jest istotnie romantyczne, a ruiny malownicze rozległych zabudowań obwiedzionych murami obronnymi, wieńczące skalistą górę, dodają uroku naturalnej piękności przyrody; tradycje sięgające zamierzchłej przeszłości oplatają te głazy i te mury bluszczem historycznych wspomnień. Widok majestatyczny w dzień, nabiera potężnej tajemniczej grozy przy świetle nocy księżycowej. Nie dziw, że jest to ulubione miejsce wycieczek, ulubiony temat malarzy krajobrazów.

Ale ruiny nienakryte dachem niszczeją z dniem każdym. Z roku na rok kureczą się pod niwelującym wpływem atmosfery. Zapadają się sklepienia, rozsypują się górne kończyny ścian, a zębowi czasu dzielnie dopomaga ręka ludzi chciwych każdego kawałka żelaza, każdego kamienia, którego do innej budowy użyć można. Ja sam pamiętam, jak jeszcze wznosiły się mury pierwszego piętra, do którego można było dojść po resztach schodów kamiennych. Dziś niema schodów, niema prawie nic z dawnego piętra, zapadły się sklepienia sal parterowych. Sterczące kawały ścian zwolna lecz stale znikają. Już brak wielu kamiennych obramień okien i sklepionych nad nimi łuków, które jeszcze widać na fotografiach robionych w roku przeszłym.

Od szeregu lat odzywały się głosy nawołujące do ochrony przynajmniej reszt pięknego zabytku. Utworzył się nawet komitet ratunkowy, robiono plany i obliczenia kosztów, podawano petycje do Sejmu, ogłaszano składki. Wszystko na próżno. Nikt skutecznie nie poparł zabiegów szlachetnych jednostek. Skończyło się na usiłowaniach. Zniszczenie postępuje, grozi zupełną zagładą.

Co więcej, od pewnego czasu uwzięto się na zeszpeceanie samej nawet piękności przyrody. Po drugiej strony koryta Wisły, w Piekarach, strzelały naprzeciw klasztoru w górę dwie ostro zakończone skały wapienne, uzupełniające malowniczość jego położenia. W ostatnim czasie założono tam kamieniołomy. Pod kilofem robotników jeden ze szczytów zniknął już całkiem, a drugi napoczęty czeka zapewne los podobny. Padają pod ciosami siekiery lasy pobliskie. W krótkce utworzy się równina i pustka. Przyszłe pokolenia będą myślały, że dawne entuzjastyczne opisy Tyńca są fikcją poetyczną, a tło na którym rozgrywa się początek *Krzyżaków* Sienkiewicza, powstało w bujnej wyobraźni autora, której kłam zadawać będzie smutna i bezbarwna rzeczywistość.

Będzie to strata krajowa i narodowa. Podobnych zaś przykładów zeszpeceenia kraju możnaby naliczyć więcej.

Nasza Polska, to nie Szwajcarya i nie okolice nadreńskie. Nie opływamy w nadmiar miejscowości uroczych i romantycznych. Tem więcej za-

sługują na opiekę te niezbyt liczne punkty prawdziwie piękne, które jeszcze są.

Chwila to może ostatnia, żeby je wziąć w opiekę, by rozpocząć akcję energiczną.

Istnieją towarzystwa upiększania miast. Mamy takie i w Krakowie. Na zachodzie nabyli ludzie przekonania, że najlepszym upiększaniem starych miast i pięknych okolic, jest ratowanie istniejących miejsc pięknych od zagłady. Nie tyle trzeba upiększać, ile chronić to co jest, brać w obronę, walczyć ze szkodnikami i z lodowatą obojętnością szerokich warstw na piękności, które nas otaczają, budzić interes, otwierać ludziom oczy.

Tym jedynie sposobem zachować możemy cechy właściwe naszych miast i okolic naszego kraju.

Więc niech powstają stowarzyszenia na wzór niemieckiego *Heimatschutzu*. Niech biorą sobie za zadanie szerzyć uszanowanie i zamięłowanie dla tych piękności. Gdy rozwiną działalność i dużo będzie ludzi przejętych tą myślą, znajdą się środki na ten cel. Ale trzeba, żeby zrozumiano powszechnie, że cel to doprawdy szlachetny i pożyteczny. Trzeba, żeby nie jednostki odzywały się głosem wołającego na puszczy, ale tysiące ludzi czuły tak samo i poczuwały się do obowiązku współdziałania słowem i czynem, groszem i kształceniem opinii publicznej.